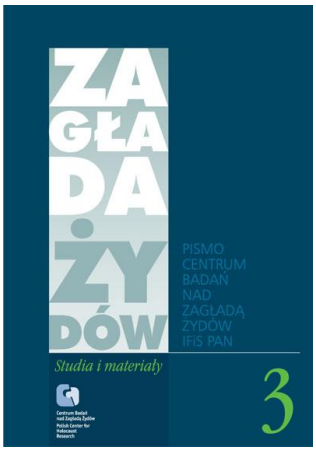


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 3 (2007)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Michał Borwicz, Apokryf pod tytułem Josl Rakower mówi do Boga

Michał Borwicz, Josl Rakower Addresses God

Michał Borwicz

redakcja@holocaustresearch.pl

Monika Polit
Żydowski Instytut Historyczny

redakcja@holocaustresearch.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-5738-0898

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.236
Strony/Pages: 287-294

CC BY

OPEN ACCESS

Michał Borwicz

Apokryf pod tytułem *Josl Rakower mówi do Boga*[1]

W osiemnastym numerze poważnego i zasłużonego jidyszystycznego kwartalnika „Di Goldene Kejt" ukazującego się w Izraelu wydrukowano utwór zatytułowany *Josl Rakower mówi do Boga.*

Jego treść jest następująca:

W powstaniu w warszawskim getcie bierze udział chasyd, zwolennik cadyka z Ger, teraz aktywny, uzbrojony powstaniec w jednym z ostatnich niepłonących jeszcze domów getta. Niemiecka artyleria ostrzeliwuje budynek. Jego ściany „gwałtownie pękają i kruszą się pod gradem pocisków. Niebawem i ten dom, w którym się ukrywa, zamieni się, w grób swoich obrońców i mieszkańców"[2].

Rakower pisze swój testament, leżąc na ziemi obok ciał zamordowanych towarzyszy. Z całej jego amunicji zostały tylko trzy małe butelki benzyny. Dwie z nich chce „rozbić na głowach złoczyńców". Trzecią, w ostatnim momencie, wyleje na siebie, by uczynić lżejszą własną śmierć. Do pustej butelki „włoży papier, na którym pisze te wersy i schowa ją pomiędzy cegły na wpół zamurowanego okna [...]. Jeśli ktoś ją kiedyś odnajdzie i przeczyta, może zrozumie uczucie Żyda, jednego z milionów, który umarł opuszczony przez Boga, w którego tak mocno wierzył".

Czytelnicze wrażenie pogłębia wplecione w tekst przeczucie niebezpieczeństwa zbliżającego się coraz wyraźniej z każdą minutą. Całość – jak przystało na testament – sformułowana w pierwszej osobie, została, wedle zawartych w niej informacji, spisana w czasie jednej sądnej nocy – 28 kwietnia 1943 roku.

W testamencie mówi Rakower, między innymi, o śmierci swoich dzieci, o życiu w getcie i o toczących się tam walkach. Przede wszystkim jednak jego myśli, jego monolog kierują się ku Bogu.

Tekst zrobił wielkie wrażenie. Został przedrukowany w innych żydowskich czasopismach. Poświęcono mu wiele artykułów i nazwano „świętym testamentem".

---

[1] Artykuł w oryginale ukazał się w języku jidysz na łamach jidyszystycznego periodyku „Almanach" (Paris 1955), pod tytułem *Der apokrif unter nomen „Josl Rakower redt cu Got".* Wszelkie wytłuszczenia w tekście oraz zapisy kursywą i przypisy oznaczone literowo pochodzą od autora.

[2] Tłumaczenia wszystkich cytowanych przez autora artykułu fragmentów opowiadania *Josl Rakowers wendung cu Got* pochodzą z książki Zviego Kolitza, *Josela Rakowera rozmowa z Bogiem*, przełożonej na polski z języków żydowskiego i niemieckiego i opatrzonej komentarzem przez Artura Kucia, Homini, Kraków 2007.

* * *

W dopisku do omawianego tekstu wyjaśniono, że jego rękopis znaleziono „W jednej z ruin warszawskiego getta, pomiędzy stosami osmalonych kamieni i ludzkich kości [...], ukryty i zamknięty w małej butelce".

Od kogo pochodzi ten dopisek? Od samego autora czy od redaktora? Jeśli od samego autora, to owa skromna notatka byłaby wystarczająca. Jest przecież napisana w formie beletrystycznej wskazówki, której funkcją jest „sytuować" i czynić prawdopodobnym (w beletrystycznym sensie) dalszy tekst.

Jednak w analizowanym przypadku to redakcja bierze na siebie odpowiedzialność za wspomniany dopisek. Czytelnik powinien zatem potraktować wydrukowane opowiadanie jako autentyczny testament, naprawdę napisany w wyżej wymienionych warunkach i faktycznie znaleziony w ruinach warszawskiego getta.

Tak właśnie rozumowały żydowskie gazety, które przedrukowały omawiane tu dzieło. W takim tonie pisano o nim w recenzjach i omówieniach.

Jednak tu właśnie zaczynają się nasze wątpliwości: jak to możliwe, że publikując tak ważny testament *dziewięć lat po wojnie*, nie podaje się najdrobniejszego nawet szczegółu dotyczącego samego jego odnalezienia: nie ma mowy o miejscu jego ukrycia w getcie; o nazwisku tego, kto odkrycia dokonał i o dacie; nie ma nawet najmniejszej wzmianki o tym, jak ten cudem odnaleziony rękopis dotarł do redakcji.

Nie uznano za stosowne zamieścić faksymile manuskryptu. Nie podaje się liczby jego stron. Zbędnym okazało się też wyjaśnienie, na jakim papierze tekst został napisany i w jakim stanie się zachował.

Krytyczna analiza samej tylko notatki pozwala wyłonić elementy, które budzą najwyższą nieufność: jeśli butelkę z rękopisem znaleziono na powierzchni ruin, znaczy to, że wybuch i pożar zniszczyły w domu, w którym Rakower zdeponował swoją butelkę, nawet cegły. Ale, wedle wskazówek Rakowera, on sam znajdował się w tylnej części domu. Każdy, kto zna ruiny warszawskiego getta, wie, że zburzone domy utworzyły tam góry cegieł i gruzu. Aby wspomniana butelka znalazła się na ich powierzchni, trzeba przyjąć, że wybuch wyrzucił ją razem z cegłami ze zburzonych ścian. A ponieważ ogień się rozprzestrzeniał, była później ta sama (niezabezpieczona butelka) narażona na spłonięcie w straszliwym pożarze[i]. I mimo wszystko ta właśnie butelka przetrwała nienaruszona.

Tekst testamentu zajmuje całych dziewięć stron druku wyjątkowo dużego formatu (publikowany w gazetach codziennych dzielił się na cztery duże odcinki, z których każdy obejmował siedem szpalt). Ile to stron manuskryptu? A żadnego specjalnego gatunku papieru Rakower do swej dyspozycji zapewne nie miał. Piszący te słowa nabrał w tamtej epoce nieco doświadczenia polegającego na umieszczaniu rękopisów w butelkach i może zapewnić, że zadanie, o którym tu mowa, w żadnym razie nie jest proste. Szczególnie, jeśli trzeba je wykonać (jak w omawianym przypadku) w ostatnim momencie, mając do czynienia z małą butelką[ii].

---

[i] Jak wiadomo, z powodu tego gorąca nawet asfalt się zamieniał w płynną, gotującą się masę.

[ii] I jeszcze – jeśli Rakower opróżnił tę butelkę w ostatnim momencie, zapewne zostało w niej kilka kropel benzyny. Nie zaplamiły więc manuskryptu, nie zniszczyły go w żadnym miejscu?

To wszystko jest jednak drobiazgiem w obliczu głównego tekstu. *Jest on literacki w podwójnym sensie.* Przede wszystkim – stylistycznie. Jego prostota nie jest spontaniczna, ale – przeciwnie – wypracowana aż do ostatniej kropki. To prostota, którą się osiąga po kilku poprawkach. Zdumiewa mnie przeto, że ci wszyscy autorzy, którzy pisali o tej sprawie i którzy sami są dobrze obeznani z techniką pisarską, nie postawili sobie tak prostego pytania: ile czasu potrzeba, by napisać tak dużą rzecz, a przy tym utrzymać styl? Czy możliwe jest, by zrobić to w ciągu kilku godzin? Była już mowa o warunkach, które sprzyjałyby może spontaniczności, ale nie stylistycznemu wykoncypowaniu i czujnej pisarskiej trzeźwości.

Przede wszystkim literacka jest (i to zgodnie ze wszelkimi regułami) konstrukcja „testamentu". W momencie, w którym Josl Rakower postanawia go napisać, już wie, że jego godziny (jeśli nie kwadranse, jeśli nie minuty!) są policzone. To jednak nie przeszkadza mu w tym, by – zamiast od razu przejść do najistotniejszego – dokonać tytułem wstępu (tak, jak przystało na doświadczonego pisarza) – syntetycznego spojrzenia wstecz. Choć autor w ciągu ostatnich lat na pewno (jak wszyscy Żydzi pod okupacją niemiecką) przeżył dziesiątki niemożliwych do opisania sytuacji, potrafi jednak dokonać literackiego, świadomego swego celu wyboru. Wie, że drobne, ale charakterystyczne, konkretne szczegóły złączone z określoną postacią robią literacko o wiele większe wrażenie niż opis masowych mordów, które ze względu na swoją skalę z konieczności stają się sumaryczne i – mniej lub bardziej – ogólnikowe. Dlatego opowiadając o kolejach swego losu (dotyczy to śmierci jego dzieci), *dobiera* narracyjne elementy tak, by zwięźle scharakteryzować każdy przypadek i zamknąć go pointą.

Ma za sobą dziesięć długich jak wieczność dni i nocy walki, które układają się w epopeję bez precedensu. Wedle wszelkich znanych doświadczeń pierwszą jego reakcją winno być wewnętrzne pragnienie, by podać jak najwięcej szczegółów dotyczących walk i jego w nich roli. Jak to się stało, że on, chasyd – wyznawca cadyka z Ger – znalazł się nagle między aktywnymi, *uzbrojonymi* bojownikami; skąd wzięła się broń w jego izbie; jak się nauczył posługiwania narzędziami walki i opanował tę sztukę tak dobrze, że był zdolny spokojnie i precyzyjnie wykonywać (w obliczu ognia i śmierci, pozostając sam i pisząc do tego swój długi testament) każdy gest i planować potencjalne wykorzystanie każdej kropli benzyny.

Być może przewidział wtedy, że dziewięć lat po wojnie, kiedy jego testament dotrze do żydowskiego czytelnika, ten ostatni będzie już znał wiele innych opisów tego tematu. Powtarzanie tych samych szczegółów byłoby zatem zbyt banalne. Ograniczył się zatem do kilku wskazówek, do kilku – rzekłbym cytatów – by „usytuować" swoją historię. Z tego samego powodu nie poświęcił wcześniej najmniejszego nawet miejsca zapisom o „wysiedleniach", „judenratach", żydowskiej „ordnungs-dinst" itd. Jakkolwiek by tego nie tłumaczyć, faktem pozostaje, że spośród wszystkich, dosłownie – spośród wszystkich tego typu zapisów, które do nas dotarły – (a dotarło ich do nas bardzo dużo) Rakower jest pod tym względem *jedyny*. Jest też jedynym, któremu nie przychodzi do głowy, by, nawet między wierszami, podać adres domu, w którym się znajduje. Wszyscy inni to zrobili, *spontanicznie*, nawet nie z dokładności, ale po prostu dlatego, że w tamtych warunkach bez przerwy posługiwano się adresami jako określeniami strategicznymi. Podejrzewam jednak autora, że w ten sposób chciał uniknąć demasku-

jącej niekonsekwencji: ponieważ miejsca, w których trafiono niemieckie czołgi, były znane, mogło się zdarzyć, że zabrakłoby wśród nich adresu oblężonego domu, któremu autor przypisał bohaterską obronę wspomnianego dnia, 28 kwietnia.

Jednakże (dziewięć lat po wojnie) tekst ten jest daleki od bycia „*banalnym*".

W całym „testamencie" nie znajdziemy *żadnego motywu*, *żadnej sytuacji a przede wszystkim najdrobniejszego szczegółu*, o których wspominałyby już inne, wcześniej wydrukowane wspomnienia. To nie jest zeznanie regulowane specyficzną logiką wywodu uczestnika wydarzeń, ale trzeźwy wybór dokonany z cudzego „surowca". Dotyczy to tak retrospektywnego spojrzenia na cztery lata życia w getcie, jak i samego powstania – od sceny z trafionymi niemieckimi czołgami stojącymi w płomieniach do owego ważnego w tekście miejsca zarezerwowanego dla butelek z benzyną[iii].

Powyższe stwierdzenie dotyczy też religijno-filozoficznego wywodu Rakowera.

O aktualności podniesionych w nim kwestii zaświadczyli po wojnie cudem ocalali Żydzi, dostarczając swymi przeżyciami stosownego „materiału dowodowego". Mam tu na myśli problem, który zawiera się w słowach „*potępiają mord swoimi ustami, ale cieszą się nim w swoich sercach*", wskazanie tych, „*którzy nie boją się Boga, ale boją się tego, co powiedzą ludzie*", a przede wszystkim podkreślenie wagi tej wiele mówiącej dygresji: „*głupcy, nie wiedzą, że ci nic mówić nie będą*".

Z literackiego punktu widzenia „testament" przypomina swoją konstrukcją ten rodzaj sztuk, w których już przy podniesieniu kurtyny wiadomo, że los głównego bohatera został przypieczętowany. Niebezpieczeństwo, bezpośrednie i nieuniknione, może przyjść w każdym momencie. Widz wie jednak, że – w tej sytuacji – autor zdoła zwięźle przedstawić wszystkie szczegóły dotyczące przeszłości bohatera, a także jego spraw rodzinnych, pozostawiając mu przy tym dość czasu na ważne monologi (które są istotą sztuki) oraz sterując wiszącym w powietrzu niebezpieczeństwem, tak, by z jednej strony odwlec koniec, a z drugiej wzmocnić tragicznie podniosły nastrój. Widz wie też, że czająca się od początku śmierć, przyjdzie *właśnie* wtedy, gdy bohater sztuki wypowie już wszystkie swoje refleksje, sformułuje morał i wykona wszystkie wyznaczone zadania.

Chcę przez to powiedzieć, że dzieło pod tytułem „Josl Rakower mówi do Boga" zostało napisane długo, długo po wojnie, przez człowieka, który nie był powstańcem, i który mógł mieć bardzo *specyficzny*, unikatowy „dystans" do literacko zrekonstruowanego przez siebie wydarzenia.

* * *

Kiedy podzieliłem się tą opinią z mym serdecznym przyjacielem rozentuzjazmowanym „odkryciem" rzekomego apokryfu, odpowiedział mi rozgorączkowany: „Nie chcę tego wiedzieć, ponieważ pragnę, by to była prawda". Kiedy powiedziałem mu, że noszę się z myślą napisania o tym, potraktował to prawie jak zbezczeszczenie świętości:

[iii] Bardzo wątpię w to, że bojownik getta, mówiąc o butelkach wybuchowych, posługiwał się neutralnym określeniem „butelka z benzyną", a nie jednym z licznych fachowych terminów, które istniały w języku powstańców.

„dlaczego chcesz zmącić radość tych wszystkich, na których ten testament zrobił wielkie wrażenie i którzy znaleźli w nim spełnienie swych oczekiwań i duchowych pragnień?".

Podobne stanowisko zajęli żydowscy literaci. O ile wiem, o tyle żaden z nich nie zapytał o szczegóły tego „znaleziska". Nawet Jankiew Glatsztajn, jeden z najwnikliwszych żydowskich krytyków, który jest zbyt wielkim znawcą stylistycznych niuansów, by nie mieć żadnych podejrzeń, poruszył ten problem tylko między wierszami, zauważył ledwo w kilku słowach: „*Na stroniczkach testamentu jest kilka znamion literackości*", ale zaraz pospieszył z dodaniem „*Ktokolwiek to napisał, prawdziwy Josl Rakower, który leżał z butelkami benzyny i czekał na swoją śmierć, albo Josl – literat, któremu dane było imaginacyjnie zbliżyć się do ostatnich chwil Josla Rakowera, testament jest częścią naszej monumentalnej literatury Zagłady, która będzie trwać na wieki*". Prócz tej uwagi (albo – właściwiej – w zgodzie z nią) w całym artykule Glatsztajna zatytułowanym „A hejlike cawoe" mówi się o „dokumencie". Autor cytuje nie tylko myśli Rakowera, ale też przytacza różne szczegóły, nazywając je faktami.

Inaczej mówiąc: ogłasza się gotowość do uznania autentyczności rzekomego dokumentu, ponieważ jego treść jest zgodna z życzeniem czytelnika, krytyka albo jakiegoś ruchu; autentyczność tekstu uznaje się zatem za kwestię mało istotną, zarazem jednak przywołuje się jej ważność wzmocnioną szczególną naturą warunków, w których tekst powstawał.

Jeśli chodzi o mnie, muszę wyznać, że jestem takim podejściem doprawdy zdumiony.

Dokument jest faktem – i jak każdy fakt musiał zaistnieć w określonych warunkach – ma stanowić dowód we wszystkich swych aspektach, między innymi i w tym, którego autor w ogóle nie przewidział, a nawet nie dostrzegł.

Jeśli „testament" Rakowera jest autentyczny, powinien posłużyć psychologowi jako podstawa rozważań nad psychicznym stanem, psychicznymi reakcjami i asocjacjami oraz postrzeganiem w określonych warunkach. Czy tego rodzaju wnioski wyciągnięte z lektury Rakowera będą właściwe?

Jeśli „testament" jest prawdziwy, powinien zostać potraktowany przez badacza literatury jak przedmiot stylistycznej analizy. Każdy skrót, metafora czy porównanie w zapisie dokonanym w tak specyficznych warunkach stanowiłyby materiał dowodowy. Czy towarzysz Glatsztajn byłby zatem gotów poważnie przyjąć wynik takiej analizy dokonanej na podstawie Rakowerowego „testamentu"?

Również dla historyka tekst ten mógłby się stać źródłem wielu przemyśleń. Na podstawie tu i tam czynionych aluzji i uwag (biorąc nawet pod uwagę możliwą subiektywną deformację relacji człowieka zamkniętego w pomieszczeniu, bez żadnego kontaktu z innymi grupami), poszukiwałby ów historyk informacji, w której części getta się to działo – w rezultacie – formułowałby opinie na temat stanu walk w nocy, 28 kwietnia. Niestety, te wnioski stałyby w sprzeczności ze znanymi faktami. Mimo tego, że autor systematycznie unika podawania szczegółów, tu i ówdzie posługuje się jednak określeniami niosącymi całkiem konkretną informację: dom, w którym znajduje się Rakower, jest „twierdzą" bez przerwy ostrzeliwaną przez niemiecką artylerię. Z drugiej strony podaje: „*przez na wpół zamurowane okno* [...] *dzień i noc ostrzeliwaliśmy wroga*". Nawet w momencie, w którym Rakower (jedyny pozostający przy życiu) pisze swój

„testament" *„z trzech pięter nad nim wciąż jeszcze gwałtownie strzelają"*. Inaczej mówiąc, chodzi tu – jasno i treściwie – o tak zwane „walki pozycyjne" – o obleganie przez wiele dni ufortyfikowanego budynku.

Prosząc nieznanego autora o wybaczenie, pozwalam sobie stwierdzić, że jest to anachronizm, ponieważ 28 kwietnia powstańcy dawno już przeszli do walk partyzanckich.

Zapewne autor polegał na źródłach, które traktowały o wcześniejszym okresie i nawet źródeł tych nie doczytał do końca lub nie w pełni je pojął. Bowiem i tam nie mówi się o trwających kilka dni walkach pozycyjnych toczonych z artylerią niemiecką o jeden budynek.

To samo dotyczy kwestii organizowania się powstańców, problemu uzbrojenia itd.

Rakower, na przykład, charakteryzuje swoich poległych towarzyszy, ale nie przychodzi mu na myśl wspomnieć nawet słowem o żydowskich organizacjach bojowych (ŻOB). Należałoby zatem przyjąć, że była to „dzika", to znaczy spontanicznie zorganizowana grupa, która broniła tak ważnej twierdzy. Jeśli tak, skąd wzięli butelki z benzyną?

Może i niezorganizowana ludność getta produkowała je ot tak sobie? Wedle jakiej „receptury"? Bowiem, wedle opisu Rakowera, nie chodziło po prostu o butelki z benzyną, ale o granaty zapalające własnej produkcji. Tak „receptura", jak i możliwości produkcyjne, zdają mi się problemem samym w sobie.

Jeśli przez kilka dni z owego domu *„gwałtownie strzelano"* do Niemców, znaczyło to, że obrońcy mieli prócz butelek z benzyną jeszcze inną broń. Czy to możliwe, by powstaniec (nawet mimowolnie) nie wymienił jej nazwy? Spieszymy przy tym dodać, że nie mogło chodzić o rewolwery, bo do walk pozycyjnych w ogóle się one nie nadają. To musiała być „długa broń" (jeśli nie broń maszynowa, to co najmniej strzelby). Amunicja się skończyła, ale broń musiała zostać w izbie i Rakower – pisząc – miał ją przed oczyma...

Pomijając nazwy innej broni, dokładnie opowiada jednak o butelkach z benzyną, o ciągłym obrzucaniu nimi wroga itd. Trzeba jednak powiedzieć, że w tej sytuacji jest to po prostu... niemożliwe... W walkach pozycyjnych (które trwają całe dnie!) wróg trzyma się zazwyczaj daleko, tam, gdzie nie dosięgną go butelki z benzyną. Szczególnie, kiedy trzeba je rzucać *„przez na wpół zamurowane okno"*, a granat wymaga przecież wyrzutu z pełnego rozmachu. Cywil może tego wszystkiego nie wiedzieć, ale powstaniec?...

* * *

Fakt, że treść tego dzieła zaspokaja „moralne pragnienie" czytelnika, jest czymś naturalnym – choć tekst powstał długo po wojnie, jest przecież *inspirowany tym właśnie pragnieniem*.

Jednak takie usankcjonowanie ukojenia duchowej nostalgii może sprawić, że wkrótce nastąpi prawdziwy rozkwit produkcji pre-datowanych „dokumentów". Każdy z nich na swój sposób będzie się starał ugasić to pragnienie...

Utrzymajmy jednakże ów normalny, zrozumiały i mądry dystans między *literaturą Zagłady* i *literaturą o Zagładzie*.

Poważne dzieło o Zagładzie ma swoją wartość i nie powinno szukać reklamy, używając sensacyjnych tricków, które nie przystoją tragicznej powadze tematu. Niech ocenia się je wedle jego literackiej wartości, wedle właściwych mu kryteriów.

Późniejszy dodatek

Artykuł został napisany krótko po tym, jak „Goldene Kejt" wydrukowała omawiany tu utwór. Jednocześnie autor tych słów w dłuższym liście do redaktora „Goldene Kejt", poety Awroma Suckewera, wyliczył wszystkie znamiona nieautentyczności i prosił go o przybliżenie szczegółów rzekomego „odkrycia", podania informacji o samym rękopisie i tym podobnych. Towarzysz A. Suckewer uprzejmie poinformował, że tekst otrzymał już przepisany na maszynie, ale że i on starał się zdobyć oryginał.

Całkowicie przekonany o tym, że „testament" jest nieautentyczny, przede wszystkim nie wspomniałem o nim w mojej francuskiej książce Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation nazie, 1939–1945 *(wielu zwolenników rzekomo autentycznego testamentu Josla Rakowera potraktowało to jako „karygodne niedopatrzenie").*

Mijały miesiące aż nagle… w artykule opublikowanym w „Jidyszer Kemfer" Jankiew Glatsztajn sam przekłuł balon nadmuchanej legendy: autor „testamentu" się odnalazł, żywy, nazywa się tak i tak, i okazuje się, że nie tylko nigdy nie był bojownikiem getta, ale przede wszystkim – na całe jego szczęście – nie przeżył okupacji hitlerowskiej.

Incydent z „testamentem" zakończył się zatem. Jeśli A. Suckewer (który sam jest cenionym poetą gettowym i brał udział w zabezpieczaniu manuskryptów) dał się tym razem zwieść, stało się to – bez wątpienia – z powodu gwałtownych uczuć, które wzbudziła w nim wspomniana ***nowela****. Ten sam czynnik zadecydował o postawie Jankiewa Glatsztajna. Wyraził to już w pierwszym swym artykule, reflektując nad znamionami „literackości" Rakowera. Jednakże, kiedy poznał szczegóły mistyfikacji, sam lojalnie wystosował odpowiednie oświadczenie.*

Tracąc swój wymiar polemiczny, mój artykuł może teraz zyskać właściwy mu wymiar krytyczny sytuujący się wobec problemu, którego wymowną ilustracją jest analizowane opowiadanie.

Po pierwsze: bardzo wątpię, czy teraz, kiedy błąd jest już dowiedziony, ktokolwiek jeszcze dostrzeże w tym opowiadaniu coś więcej niż jedną z wielu nowel. I tak oto ostatecznie zada się kłam twierdzeniom o tym, że potwierdzanie autentyczności tekstów jest kwestią niewielkiej wagi.

Po drugie: załóżmy, że prawdziwy autor opowiadania nie odnalazłby się i „testament", uznany za autentyczny, służyłby za podstawę wszelkiego rodzaju twierdzeń (historycznych, psychologicznych i innych). Wyobraźcie sobie, jakież to fantastyczne plątaniny zmyślenia i prawdy „testament" ów mógłby zrodzić i podtrzymywać przy życiu?

Mam nadzieję, że moi przyjaciele, którzy niegdyś w wielkim gniewie i obrazie zarzucili mi „wymądrzanie się", „chorobliwą pedanterię" i inne „profesjonalne skrzywienia", nie tylko uznają swój błąd w tej (zamkniętej już) sprawie, ale przyjmą też starą prawdę, że ***szacunek dla świętości nie ma absolutnie nic wspólnego z entuzjazmem dla fałszywych „eksponatów".***

* * *

Od redakcji „Di Goldene Kejt":

Niniejszy esej został napisany, kiedy w „Di Goldene Kejt" ukazał się omawiany tu „testament". Odkryte tymczasem fakty potwierdziły wywód towarzysza Borwicza. Po stwierdzeniu mistyfikacji napisano o niej w żydowskiej prasie wiele artykułów, ale **żaden** z autorów nie zajął się podstawowym problemem, to znaczy analizą samego tekstu. Uznajemy zatem za pożyteczne przedstawienie powyższego eseju **bez żadnych zmian**, tak jak został napisany dla stwierdzenia fałszerstwa.

Po odkryciu mistyfikacji Michał Borwicz napisał, na nasza prośbę, powyższy dodatek, w którym wspomina o swojej korespondencji z redaktorem „Di Goldene Kejt".

Z jidysz przełożyła *Monika Polit*

Słowa kluczowe
teksty o Zagładzie, apokryfy

Abstract
Michał Borwicz's text published in 1955 in "Almanach", a Yiddish periodical, is the first serious historical and literary analysis, which proves that *Josl Rakower Addresses God* supposedly an authentic voice from the burning Warsaw ghetto, is apocryphal. It is also the first important, voice in a discussion regarding the need to clearly separate the *hic et nunc* Holocaust testimonies from literary texts on the Holocaust (written *ex post*).

Key words
texts on the Holocaust, apocryphal texts